

EDWARD SERWAŃSKI

DNIA 13 LUTEGO 1945 ROKU...

Pamięci Patrona Instytutu Zachodniego
Prof. dra Zygmunta Wojciechowskiego
„Piotra” z „Ojczyzny”

I. NA PRZEŁOMIE

Dnia 13 lutego 1945 r. „pilotowałem” dziekana Wydziału Prawno-Ekonomicznego Uniwersytetu Poznańskiego, prof. dra Zygmunta Wojciechowskiego, z Milanówka na prawy brzeg Wisły, na Pragę, na spotkanie z Osóbką-Morawskim – ówczesnym premierem Tymczasowego Rządu Polskiego – celem przedłożenia mu memoriału o Instytucie Zachodnim i uzyskania pozwolenia na kontynuowanie jego działalności prowadzonej już w konspiracji.

Po latach Pani Maria – żona Zygmunta, pisząc o prehistorii Instytutu Zachodniego stwierdziła, że: „Profesor był u Osóbki-Morawskiego z p. mgr Edwardem Serwańskim”. Piękny gest Profesorowej, ale to nieprawda, ja tylko pilotowałem. Co znaczy taki termin w konspiracji, albo na progu dwóch polskich państwowości – różnie należy ocenić. Poza tym miałem jeszcze legitymację na nazwisko „Karol Szymański”, a w konspiracji używałem pseudonimu „Mietek”.

Dalej, Profesor był rzeczywiście dziekanem, ale memoriał napisał jeszcze jako „Piotr”, a to ma poważne znaczenie w historii organizacji niepodległościowej „Ojczyzna”, do której kierownictwa należał, a odegrał w tzw. konspiracji zachodniej ogromną rolę. Owszem, memoriał podpisał jako Zygmunt Wojciechowski.

Z kolei trzeba sobie uzmysłwić sytuację, jaka panowała wówczas w Polsce, to znaczy w tej części kraju, lepiej w „Podwarszawie” – jak sygnowałem korespondencję na przełomie lat 1944/1945. A „Podwarszawa” miała wówczas ogromne znaczenie w kraju i za granicą – przez radio.

Tu nie chodziło o restytucję wyższej uczelni, np. Uniwersytetu Poznańskiego. Do tego nie trzeba było pozwolenia Pana Premiera. Miliony ludzi od pierwszego dnia uwolnienia „Swej Ziemi” od niemieckiego okupanta – począwszy od lipca 1944 r. to znaczy od chwili powstania Polski Ludowej – rzucili się do swej roboty, każdy, jeśli był na „Swoim Miejscu”, aby jak najszybciej przywrócić stan rzeczy sprzed wojny.

Tu chodziło – no właśnie – o akt polityczny. Sprawa Instytutu dojrzała pod Warszawą w jesieni 1944 r., po straszliwej klęsce Powstania. Ale nie można pominąć 1941 r. Mam tu na myśli czerwiec tamtego roku. Chodzi o Studium Zachodnie. My, twórcy czy współtwórcy Instytutu, bardzo bronimy tej genezy. Bo to właśnie Studium jest prawdziwym początkiem Instytutu. Ale trzeba odróżnić fakt historyczny (i polityczny) od formalnego powołania do życia Instytutu i jego aprobaty przez władze Polski Ludowej oraz rejestracji w lipcu 1945 r. w Poznaniu w Urzędzie Wojewódzkim.

Kto dziś jest w stanie przywołać „tamten czas”, „nocnych rodaków rozmowy”, oczekiwania, kiedy ruszą Rosjanie i jak wycofają się Niemcy. Dominowały opinie, że Niemcy w chwili zagrożenia będą nas wszystkich ewakuować, aby pozostawić „Ruskom” ziemię niczyją, pustą, co się da – wywieźć, a co nie – zniszczyć. Kogo dziś może wzruszyć sugestia Profesora: „Spotkamy się we Wrocławiu w kościele Panny Maryi Na Piasku”. Ileż grozy trzeba było przewidywać – po tylu doświadczeniach – żeby tak się... umawiać.

(Po latach stanąłem na środku tego kościoła – zachwycony zaawansowanym stanem jego odbudowy. W pewnej chwili chwycił mnie pod rękę młody ksiądz: „Proszę Pana, proszę Pana, tu w głównej nawie będzie..., a tu w bocznej umieścimy jeszcze..., tutaj proszę Pana...” i tak w kółko. Byłem głęboko wzruszony. Przypomniał mi się Profesor. Wspomniałem o Nim księdzu. Też się wzruszył. Odważyłem się na poufałość. Powiedziałem: „Proszę nas wspomnieć, proszę o nas pamiętać”. Ksiądz mocno uściskał mi dłonie).

Pisząc o rozpoczęciu działalności Instytutu Zachodniego w lutym 1945 r., nie sposób nie wspomnieć chociażby w kilku zdaniach o stanowisku politycznym „Ojczyzny” pod koniec 1944 r., po klęsce Powstania Warszawskiego. Tak jak inne organizacje polityczne oraz władze państwowe, czyli Delegatura Rządu – „Ojczyzna” wykazała się wyjątkową żywotnością. Podejmowane wówczas przez nią decyzje miały koronne znaczenie.

Dnia 15 listopada tegoż roku kierownictwo „Ojczyzny” zaproponowało Przewodniczącemu Rady Jedności Narodowej zwołanie plenarnego posiedzenia Rady, celem podjęcia uchwały dotyczącej korekty granicy północno-zachodniej z Prusami Wschodnimi włącznie.

W dniu 20 grudnia „Ojczyzna” zwróciła się do Rady Jedności Narodowej o spowodowanie dymisji Rządu Polskiego na emigracji w związku z opublikowanym wywiadem w prasie angielskiej ówczesnego premiera Arciszewskiego, w którym powiedział: „Nie chcemy Wrocławia i Szczecina”.

Jednak nagle skończył się czas przełomu – grudnia 1944 r. i stycznia 1945 r. W dniu 13 stycznia ruszyła ofensywa Armii Czerwonej. Dnia 17 stycznia wolna była Łódź. Front zbliżał się do Wielkopolski. Dla nas wszystkich wielkie, ogromne przeżycie, Niemcy nie zdążyli nas ewakuować – jak się przypuszczało – a „Ruscy” jeszcze zajęci byli wyłącznie wojną.

Ostre reakcje w całej podwarszawskiej konspiracji, zarówno rządowej: cywilnej i wojskowej, jak i oczywiście w organizacjach politycznych. Kierownictwo „Ojczyzny”, Departament Informacji i Prasy oraz już Instytut, napiszmy tu, Zygmunta Wojciechowskiego – w granicach naszych zaprogramowanych zadań podejmowały szereg bardzo pilnych decyzji.

Profesor zabrał się do przygotowań „ewakuacyjnych” w stronę... Poznania.

Kierownictwo „Ojczyzny” podjęło decyzję w sprawie likwidacji redakcji czasopisma „Ojczyzna” wydawanego pod Warszawą. Ukazało się kilka numerów z bardzo poważnymi artykułami politycznymi, dotyczącymi konsekwencji klęski Powstania Warszawskiego (opublikowałem tam pierwszy artykuł pt. *Rzeź Woli*).

Trzeba było zlikwidować redakcję „Kraju”, Agencji Prasowej Delegatury, wydawanego przez „Ojczyznę” za aprobatą i pod kontrolą Dyrektora Departamentu Prasy i Informacji „Dołęgi”, Stanisława Kauzika. Ukazało się kilka numerów Biuletynu. W jednym, specjalnym dodatkowym (nr 6a) opublikowałem pierwsze opracowanie pt. *Powstanie Warszawskie VIII-IX 1944 w świetle faktów i dokumentów*.

W tych sprawach bardzo czynny był profesor Zygmunt Wojciechowski. Stanowiliśmy zespół publicystów, autorów, redaktorów pod Jego kierownictwem. Byli w zespole: kierownik „Ojczyzny” Jan Jacek Nikisch, Juliusz Kolipiński oraz Edmund Męclewski. Chodziło o takie sprawy, jak autorstwo Profesora we wszystkich wspomnianych wyżej ściśle politycznych opracowaniach „Ojczyzny”; o wstępne artykuły zarówno w „Ojczyźnie”, jak i też w Agencji „Kraj”. Jednak szczególną rolę odegrał Profesor w Akcji „Iskra-Dog”.

Wiele kłopotów miałem z likwidacją tej Akcji – ponieważ agend badawczych było kilkanaście, rozsianych w wielu miejscowościach podwarszawskich.

Zagarnięty w drugim tygodniu Powstania przez Niemców, przeszedłem „Marsz przez Wolę”, o ile to tak można nazwać. Jako oficer Armii Krajowej zorganizowałem w rejonie ul. Elektoralnej odcinek „Attoza” w obszarze operacyjnym X Zgrupowania por. Ostoi. Zdołałem się „zlikwidować”, przeżyć „Marsz przez Wolę” nie zdekonspirowany. Uciekłem z dworca pruszkowskiego z kolumny pilnowanej przez Niemców. Znalazłem się w Brwinowie; dotarłem do kierownictwa „Ojczyzny” i podjąłem akcję gromadzenia materiałów o Warszawie „na gorąco”, świadomy tego, co widziałem. Zachęcałem innych do gromadzenia materiałów w formie pisania relacji, protokołów, przyczynków dotyczących zbrodni i przeżyć w Powstaniu.

Kierownictwo „Ojczyzny” przyjęło sprawę do wiadomości; koledzy-prawnicy wprost oświadczyli, że są przeciwni Akcji. Aprobował ją natychmiast prof. Z. Wojciechowski i Akcja znalazła się w ramach organizacyjnych Delegatury Rządu, to jest Departamentu Informacji i Prasy. Wielką pomocą naukową służyła prof. Maria Kielczewska. Zebrano kilkaset przekazów. Ich zabezpieczenie nie było bynajmniej rzeczą łatwą.

W 1946 r. wydałem dwie pozycje: *Zbrodnia niemiecka w Warszawie* (wraz z Ireną Trawińską) z przedmową Zygmunta Wojciechowskiego. Załączono ją do akt procesowych głównych przestępców wojennych w Norymberdze (*Documenta Occupationis Teutonicae*, Instytut Zachodni, tom II); w Wydawnictwie Zachodnim opublikowałem rzecz o obozie w Pruszkowie, a w... 20 lat później *Życie w Powstańczej Warszawie* (we wszystkich pracach informacje o Akcji „Iskra-Dog”; specjalny artykuł w „Życiu i Myśli” nr 7-8/1985).

II. WYPRAWA

I w tych tak bardzo nerwowych poczynaniach nieustannie dyskusje, ale co jutro!? I tu jest ten 13 lutego 1945 r. Zostałem wezwany przez Profesora z Brwinowa do Milanówka. Pusty dom, czyli puste mieszkanie. Co się stało!? Dla mnie po prostu wstrząs. Wówczas to oznaczało coś bardzo niedobrego. Powtarzam, co się stało!? Trzeba zrozumieć sytuację oraz sprawę „Dworu Zygmunta”. (To był Pierwszy Dwór. Drugi później, to znaczy za kilka tygodni, na Góralskiej w Poznaniu).

Pusty dom, w którym dzień w dzień, w jednym pokoju czekało szereg osób „na przyjęcie” u Profesora i ten drugi pokój, w którym Profesor „urzędował”, tak – urzędował. W pokoju, w domu, przez który „przewaliła się” „Podwarszawa” II Rzeczypospolitej popowstaniowej. Nikt nie może dziś zrozumieć, co znaczyła wówczas dla mnie ta pustka. Pamiętam do dziś, jak prof. Zdzitowiecki, siedząc w „kolejce”, gniewnie do mnie powiedział: „Zygmunt zajęty”. A za chwilę „Miecia” wywoływano do gabinetu Profesora: Bo właśnie... właśnie mówiono o Akcji „Iskra-Dog”.

Ale w tym tłoku były chwile skupienia. Przy stoliku, na którym rozłożona leżała mapa Europy, siedzi Profesor, „Antek” (przepraszam Antoni Horst) i dosiada „Mieciu”. Rysiu – syn Profesora, kilkunastoletni dorastający chłopak, właśnie przyniósł ze strychu najnowsze wiadomości radiowe. I studiowanie. Nagle Profesorowa wnosi na tacy – (na talerzu) trzy kromki chleba. Ojej! Profesor zaraz zjadł swą kromkę, a my z Antkiem jemy, jemy. I nagle Profesor: „Do cholery, skończcie z tym jedzeniem”. Rzeczywiście, to była tortura, kiedy głodny po zjedzeniu jednej kromki (zamiast trzech) nie mógł patrzeć, gdy ktoś jeszcze jadł. A kto dziś może wiedzieć, że był głód w Milanówku, w Brwinowie, w całej „Podwarszawie”.

Nie było za co kupować chleba. „Młynarki” Generalnej Guberni już „nie funkcjonowały”. Po lubelskie złotówki trzeba było wysyłać nasze panie łączniczki, kurierki, do Radomia, Piotrkowa Trybunalskiego, a nawet do Częstochowy.

Wielu z nas było ledwo ubranych, obdartych. Uciekłem z dworca pruszkowskiego w letnim „stroju”. Ubierano mnie w dniach listopadowych, jak się dało. Co to było za „ubranie”.

Kapitałnym przyczynkiem do ówczesnej sytuacji jest relacja J. Nikischa, zapisana w „Więzi” z 1985 r., w której opublikował rzecz o „Ojczyźnie” (nr 10-11-12). Oto cytat:

„W okresie powstania część »Ojczyźniaków«, którzy znaleźli się poza Warszawą, odszukała się i znalazła schronienie i bazę działania w Brwinowie, u członków organizacji – Stanisława i Lucyny Sieciechowiczów, którzy nocowali do 20 osób, a żywili do 40 obdartych, głodnych, z rodzinami i dziećmi. Tam również zbierali się nasi ludzie wychodzący z Warszawy czy ewakuowani przez obóz w Pruszkowie i tam odszukiwani przez członkinie naszej organizacji zatrudnione w służbie sanitarnej obozu, po czym różnymi sposobami z niego zwalniani”.

Więc ten tłok u Profesora i nagle ta pustka. Kierownictwo „Ojczyzny” nie informowało mnie na bieżąco, co postanowiono o Instytucie na naradach w Milanówku i w Brwinowie. Stale zajęty byłem Akcją „Iskra-Dog”. W Brwinowie u Sieciechowiczów sprawa była jasna. Tam „uchwaliliśmy” sprawę Instytutu. Ale kiedy albo kto wyznaczył termin wyprawy Profesora „w świat”? Czy w ogóle było można jakiś konkretny dzień wybrać, czy sprawa należała wyłącznie do decyzji Profesora?

Więc dla mnie zaskoczenie. Ile razy musieliśmy z naszych domów uciekać w plener z powodu gwałtownych, szybkich „łapanek” niemieckich. Nigdy nie wiedzieliśmy co się stało i na czym nas można w domach przyłapać. Ile razy to się zdarzało!

I nagle Profesor w tym pustym pokoju, tylko z Profesorową, do mnie: „Mieciu, pojedzie Pan ze mną do Osóbki-Morawskiego”. Struchlałem! Krzyknąłem w sobie: „Ach to tak! Więc dlatego wszyscy pouciekali!”

Profesorowa w ogromnym skórzanym fotelu (był potem latami na Chełmońskiego – to jest w Poznaniu) skurczona; błada twarz – jak gdyby przerażona. Wbiła swe oczy w moją twarz. Już nigdy w życiu nie widziałem takiej twarzy Profesorowej (przepraszam – widziałem po 10 latach, na Góralskiej, w nocy z dnia 12 na 13 października, gdy czuwałem nad umierającym Profesorem wezwano mnie, bo Profesorowa nie miała już sił. Dlaczego właśnie mnie? I potem rano przyjechał „Antek” – właśnie „Antek” i zabrał samochodem Profesora do kliniki. To było 13 października, dzień moich imienin. A rano dnia następnego wiadomość w IZ – profesor nie żyje. Ale to było 10 lat później). A teraz Profesorowa – tak bardzo zaangażowana we wszystkie nasze poczynania – wpatrzona we mnie, jak gdyby „domagała się” odpowiedzi.

Profesor, kiedy zapytał mnie, czy pojedę – stał na środku pokoju, po czym odwrócił się. Podeszedł do okna – kulejąc – i oparł głowę o szybę – a przedtem dał znak ręką, abym usiadł i przeczytał leżący na stoliku memoriał o Instytucie Zachodnim (sprawa tak „obgadywana” przez tyle czasu w Brwinowie i Milanówku). Jednak najbardziej zainteresowała mnie wizytówka profesora

Raabego leżąca na samym wierzchu, polecająca Profesora do Osóbki-Morawskiego. (Przypomnienie dla średniego i młodszego pokolenia – chodzi o Henryka – wybitnego działacza socjalistycznego II Rzeczypospolitej – organizatora i pierwszego rektora Uniwersytetu Lubelskiego imienia Marii Curie Skłodowskiej w 1944 r. Zmarł zaraz po wojnie, więc jest już prawie dziś nie znany).

I teraz nie wiem, co się stało. Nie pamiętam szczegółów – konfabulacja? Właśnie, pamiętam ten niespotykany gest Profesora, jedną z największych Jego delikatności (w każdym razie w tej chwili wobec mnie) w tak dramatycznej chwili życiowej i Jego, i mojej, począwszy od 1941 r. z czasu Studium Zachodniego aż po październik 1955 r. Aby mnie nie krępować – nie spojrzał na mnie. Trzymał głowę wspartą o szybę okienną.

A ja wstałem od stolika, zrobiłem jakiś gest, czy też rozłożyłem ręce, co miało oznaczać, że nie mogę. Nie wiem, może wstałem i rozłożywszy ręce powiedziałem: „Panie Profesorze, jestem oficerem Armii Krajowej”. Na to Profesor gwałtownie oderwawszy głowę od okna, od szyby zawołał: „A ja, to co!” I znowu odwrócił głowę do okna.

Spojrzałem na Profesorową. Pani Maria... „nie darowała mi” – jeśli tak wolno, można powiedzieć. Ostro ponownie wbiła swe oczy w moją twarz. Ale do dziś nie wiem, co to miało znaczyć, żebym powiedział tak, czy nie. Chodziło Jej, żebym „zabrał głos w tej sprawie”. Właśnie!

Więc „strzeliłem” drugi raz; może zaprotestowałem, może bąkałem, może – zgodnie z moją antypolityczną naturą... „Panie Profesorze – usłyszałem swój własny głos – Delegatura, jestem z Delegatury Rządu”. I scena się powtórzyła. Profesor zawołał w moją stronę ponownie: „A ja, to co!”

Kto dziś zrozumie tę scenę, moją sytuację! Nie reprezentowałem żadnej organizacji politycznej, ale byłem w Delegaturze Rządu na ważnych stanowiskach. Więc jak tu od razu „wskoczyć” w Polskę Ludową. Owszem, liczyła się jedna, ba, dwie sprawy – wyjątkowej wagi – wychowanie w duchu solidaryzmu narodowego i w tradycjach pracy organicznej Polski Zachodniej. To się liczyło, ale teraz, „tak od razu!” I do tego to moje straszne: „Wszyscy puciekali!”

A Profesor – to inna sprawa – Uniwersytet, dziekan, znany w politycznej konspiracji Warszawy i „Podwarszawy”, w kierownictwie „Ojczyzny”. I podejmuje decyzję, bo to była decyzja polityczna. Jego stać było na to – choć nie chodziło tu tylko o powrót do domu swego, do swej pracy. Nie, chodziło o Instytut o charakterze... narodowym.

Dlaczego nikt po wojnie do tej sprawy nie wracał? Dlaczego zapadła decyzja, że towarzyszyć mam Profesorowi: wieczny student, nie liczący się w ... polityce, początkujący pisarz, dziennikarz, publicysta, działacz społeczny, harcerz! I to okropne dla mnie: „Wszyscy puciekali!” Ta pustka w domu, na „Dworze Zygmunta”.

I pytanie, czy Profesor nie pojechałby do Osóbki-Morawskiego, gdyby „Mieciu” odmówił! Oczywiście, że by pojechał: z kimkolwiek? Chociaż nie wiadomo, czy właśnie tego dnia. Dlaczego nie pilotował tego dnia syn Profesora, Rysiu – 17-letni młodzieniec. A więc nie chodziło o „pilotowanie” tylko o współuczestnika wyprawy... politycznej!

Dlaczego kierownictwo „Ojczyzny” nie poinformowało mnie o decyzji wyprawy Profesora w moim towarzystwie. Zawiadamała mnie nasza łączniczka-kurierka „Lena” – nie byle kto, moja rówieśniczka, a więc dorosła Pani, wtajemniczona w sprawy konspiracji – wielce przez nas szanowana Halina Facinetti-Każmierczakowa. Ile razy łączyła nas w sprawach ważnych i bardzo ważnych, często informując o czym będzie sprawa.

Czy zlekceważono mnie, czy też właśnie chodziło o zaskoczenie; czy Profesor działał sam – wiedząc, że... nie odmówię. Czy chodziło tylko o „technikę”, o „pojechanie” do Osóbki-Morawskiego?

O żadnym „pojechaniu” nie było mowy, bo żadnej komunikacji, ani kolejowej, ani samochodowej czy innej nie było. Chodziło również o poważną wyprawę – właśnie – w sensie technicznym.

Niemniej reprezentowałem znaczną pozycję w hierarchii Polskiego Państwa Podziemnego w Wielkopolsce. W każdym razie byłem od listopada 1939 r. organizatorem w Południowej Wielkopolsce Głównej Delegatury Rządu na Ziemię Zachodnie Rzeczypospolitej, której Delegatem był były wojewoda Adolf Bniński. Organizatorem Delegatury była „Ojczyzna”, którą „wprowadziłem” w południową Wielkopolskę pod patronatem radcy Stefana Rowińskiego. Byłem współtwórcą Związku Walki Zbrojnej w tym rejonie, a potem Armii Krajowej oraz Szarych Szeregów. Przyjmowałem w Ostrowie Wlkp., na inspekcji gen. Bora-Komorowskiego w grudniu 1941 r. – jako ówczesnego Dowódcę Obszaru Zachodniego ZWZ (Wielkopolska i Pomorze). W Wielkopolsce w latach 1942-1943 – jako Pełnomocnik Biura Zachodniego Delegatury Rządu – wszedłem w skład Kuratorium Wojennego do Spraw Tajnego Szkolnictwa. Kierowałem akcją Opieki Społecznej i finansami Delegatury Rządu, nie mówiąc o zabiegach w sprawie restytuowania pewnych form administracyjnych w konspiracji w Wielkopolsce.

Na terenie Generalnej Guberni – aż do Powstania Warszawskiego – „Ojczyzna” „usytuowała mnie” w najwyższych z możliwych kontaktach państwowych i politycznych, że wspomnę tu Małą Czwórkę, kontakty z kierownictwami Stronnictwa Narodowego, Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Pracy, z Departamentami: Administracji, Finansów, Opieki Społecznej, z Biurem Oświatowo-Szkolnym, z Komendą Korpusu Zachodniego (kolejne kontakty z Borem-Komorowskim), z Komitetem Walki Cywilnej (Stefan Korboński), z Sekcją Zachodnią Departamentu Informacji i Prasy, Naczelnikiem Szarych Szeregów (kolegą i przyjacielem z lat studiów – Florianem Marciniakiem), z Wydziałem Zachodnim Szarych Szeregów przy Głównej Kwaterze, z kon-

spiracyjną hierarchią Kościoła katolickiego (w Poznaniu z biskupem Walentym Dymkiem). Niezapomniane spotkanie z Delegatem Rządu Cyrylem Ratajskim.

A więc „pieszo” po tym Polskim Państwie Podziemnym nie chodziłem.

Ale żadnym politykiem nie byłem. Więc jeżeli wszyscy pouciekali, a Profesor mnie prosił o pomoc, to znaczy, że wyprawa była jego konstytutywną decyzją. Czy ja wówczas dojrzałem do tego, aby z Profesorem być u Osóbki-Morawskiego, czy moja decyzja była komukolwiek potrzebna!

Po czym ni stąd, ni zowąd spojrzałem na Profesora, który kulał. Mówiąc po staropolsku Profesor „był chory na nogę” (nie wszyscy wiedzieli, że Profesor wyskoczył z kolejki dojazdowej, „wracając” z Powstania do Milanówka. Tak, jak wielu innych – ratujących nieraz siebie, czy też odwrotnie, ginących pod kołami kolejki). Więc zapytałem „co z tą nogą”. I wówczas stał się „cud”, o ile można użyć tego terminu; może lepiej powiedzieć, że nastąpiła przełomowa chwila. Pani Maria zerwała się z fotela, po prostu wybuchła; zaczęła wołać i biegać po pokoju: „Panie Mieciu, Mąż może chodzić!” Są buty, kapelusz, szalik, rękawiczki, laska. „Panie Mieciu, może się pan napije herbaty!”

Profesorowa nie „wskoczyła” w Polskę Ludową; przeskoczyła straszliwą barierę czasu; nie było można dłużej czekać, zastanawiać się. Zdecydowało zachowanie Niewiasty, Kobiety, Polki, Żony profesora Uniwersytetu, Matki. Czy można to tak nazwać? Czy instynkt Kobiety – w dramatycznej chwili dla Mężczyzny – jest bardziej konstytutywny? Nie wiem.

Ruszyliśmy w świat! Pogoda nie była zła. Śnieg leżał, przeświecało słońce; był mroźnik – owszem. Nie sposób dziś – po tylu latach – przekazać szczegółowo relacje o tej wyprawie w sensie technicznym „tam i назад”. To nie był z mej strony *Husarenstück*, to była makabra. Zdaniem moim „Ojczyzna” nie przewidziała stopnia trudności technicznych w tamtych warunkach, aby Profesora narażać na tego rodzaju wyprawę. Brak było przede wszystkim środka lokomocji. Ja także nie zdawałem sobie sprawy z moich możliwości fizycznych. I ta strona psychiczna wyprawy! Taka inna dla Profesora i tak inna dla pilota – niepilota – jeszcze nie wiedziałem, jak się zachowam w najważniejszym momencie tej wyprawy. Na „polu bitwy” została odwaga i męstwo Profesora i Dzielna Jego Małżonka – Pani Maria!

Powtarzam – wyprawa z kulejącym Profesorem na Pragę była makabrą. Nieustanne polowanie na jakikolwiek środek lokomocji. Nie pamiętam już, jak było z elektryczną kolejową dojazdową (EKD). Nie było prądu w rejonie podwarszawskim. Znalezione lokomotywy spalinowe, czy parowe; nazwano je ciuchciami, one uruchomiły kolejki. Jaka to była jazda, trzeba było zobaczyć i się przestraszyć. Środkiem płatniczym była wódka. Harcerz Serwański tego nie przewidział. Należało przedtem umówić się z kimkolwiek i wyprawę zorganizować. Oczywiście to moja wina.

Wędrówka polami, jakimiś ścieżkami: tu jednokonny wózek, tam kawałek drogi ciężarówką, której „było po drodze”. Kto mógł pomyśleć, ile trzeba było pieniędzy, żeby sobie pozwolić na komunikację. Ale to trzeba było zorganizować. Pochopnie podjąłem decyzję, bo mnie nie uprzedzono. Wreszcie Wisła i prom.

Straszliwy tłok. I jest Praga – również tłok. Gdzie jest siedziba Rządu? Dojście do gmachu? Tu dopiero tłok. „Proszę o przejście dla Pana Dziekana”. „O, jak się pcha”. Nie tylko ja się pchałem, Profesor także.

Profesor był za ciepło ubrany. W ciężkim futrze. Ja z kolei przemarznięty – obdarty – ubrany po ucieczce z dworca pruszkowskiego. W letnim „stroju”. To „ubieranie” mnie przez panie – ta „składanka”.

Teraz wychodzi ogromne zmęczenie fizyczne i paskudna trema wobec spotkania z Osóbką-Morawskim. Jest hol. Nie wymieniliśmy z Profesorem żadnego zdania – jak pójdziemy. Tylko co chwilę krótkie zdanie – teraz tu, teraz tam – co do wyboru drogi, przejścia. I nagle ta ostatnia perspektywa – bo nagle dano znak – to tu!

Profesor daje znak ręką: „Mieciu”! Ja stoję obok, dosłownie – obok. Nie ruszam się. Tylko ta wyciągnięta ręka Profesora. Nie zdobyłem się nawet na żadne słowo. Nie miałem sił, czy nie chciałem powiedzieć: „Nie”. Tylko głową dałem znak, że nie: Profesor poszedł sam. A ja stałem obdarty i oparty o ścianę; obdarty i w sensie fizycznym, i zdruzgotany wewnętrznie. Ten ruch ręki Profesora i: „Mieciu” zostanie już w obrazie do końca życia. Gdy Profesor wyszedł, nie wymieniliśmy ani słowa. Szukanie pana dyrektora Giebartowskiego. Chodziło o jakiś podpis i jest przekaz pieniężny na 50 tysięcy złotych.

W tych sprawach mogę już zastąpić Profesora; to także sprawa „techniczna”. Jakiś inny gmach, czy to był bank? Nie wiem, nie pamiętam. I znowu ta scena, jak poprzednio: „O, jak się pchają”. I znowu: „Proszę nas przepuścić, proszę o przejście dla Pana Profesora”. I ta odpowiedź: „O, jak się pchają”.

Wreszcie na powietrzu. Mam pieniądze w rękę i pamiętam tylko pierwszy wydatek – na dorożkę. Do promu, do Wisły. („Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę”).

I tu znowu pamiętna chwila; znaleźliśmy się na „rozstaju dróg” u wylotu Wolskiej. Profesor spojrział na mnie: „Idziemy Wolską”. A ja zamilkłem najpierw, a potem energicznie powiedziałem: „Nie”; zmieniliśmy trasę na dłuższą i chyba trudniejszą.

Dopiero po latach, po wielu latach – już nie pamiętam, czy to było na Chełmońskiego, czy na Góralskiej – Profesor w małej gromadce wspominał tę chwilę: „Proszę Państwa, Pan Edward nie chciał już drugi raz iść tą... Wolską”.

Tak, nie chciał iść; i ci, którzy tego słuchali, jeszcze wiedzieli, co to znaczy iść w czasie Powstania ulicą Wolską, ulicą śmierci, mordowania, czyli egzekucji.

Ja miałem na ręku małą Basię, Profesor „Bubę” „Andrzeja”, to jest Edmunda Męclewskiego. Mężczyźni w ten sposób „chronili” swe życie, że występowali w roli ojca; inni nosili ciężkie bagaże, podręczne rzeczy rodzinne. Potem dopiero nas rozdzielili od kobiet, ale wówczas już nie mordowano.

Co za delikatność Profesora, że wówczas ani drgnął, nie wspomniał dantejskich scen, które przeżywalimy na Wolskiej.

W jednym Profesor się mylił – to już nie drugi raz miałem iść Wolską – ale trzeci raz. Drugi raz bowiem „przemierzaliśmy” tę drogę właśnie ze wspomnianym wyżej „Andrzejem”, w listopadzie 1944 r. A to już wielka historia Sekcji Zachodniej Departamentu Informacji i Prasy Delegatury Rządu, to już prawdziwy *Husarenstück* „Andrzeja”. Otóż w Pruszkowie, i nie tylko w Pruszkowie, różne środowiska polskie „kontaktowały się” z *Wehrmacht*, aby jak najwięcej uratować z mienia zachowanego w zrujnowanej czy spalonej Warszawie. Środowisko naukowe z Kolonii Staszica przy placu Narutowicza miało zorganizowany taki „kontakt”. *Wehrmacht* dawał żołnierza-strażnika i „jechało się” do Warszawy.

Ale „Andrzej” miał szatański pomysł, aby wywieźć z Marszałkowskiej, z piwnicy zrujnowanego domu akta Sekcji Zachodniej Departamentu; oczywiście najpierw z Kolonii Staszica akta pewnego Pana Profesora. Moim prawem i obowiązkiem było wziąć udział w wyprawie. Ogromnie ryzykowaliśmy... dosłownie życie naszej łączniczki Haliny Kwiatkowskiej. „Bajtowanie” takiego strażnika z *Wehrmacht* należało do mojego obowiązku. Zabraliśmy z piwnicy spakowane akta, ale potem właśnie ta... Wolska. Po drodze bez przerwy zatrzymywanie – wreszcie posterunek końcowy. Wielka tablica *Plünderer* i wokoło tej tablicy leżące trupy mężczyzn. Do ciężarówki wchodzi żołnierze i... plądrują po aktach, skrzynkach i skrzyneczkach – same książki i papierzyśka.

Tak jak o Profesorowej Wojciechowskiej, teraz o Męclewskim – takiej „bladej twarzy” na obliczu „Andrzeja” już w życiu nie widziałem. To był nie tylko *Husarenstück*, ale *Meisterstück*.

Potem, po latach (znowu te „po latach”), gdy wlokła się w Warszawie „u Pilichowskiego” i w Poznaniu w Instytucie sprawa wydania akt LO (tak zwaliśmy raporty sytuacyjne z Ziem Zachodnich opracowywane w Warszawie i wysyłane do Londynu do dyspozycji Rządu Polskiego), pewnego dnia usłyszeliśmy niezapomnianego dr. Jerzego Marczewskiego – 15 lat od nas młodszego – głośne wołanie: „Dlaczego tego nie wydajecie” (przygotowali do druku za „zezwoeniem” Pilichowskiego – Marczewski, Męclewski, Serwański). (Czytelnikowi tych wspomnień z IZ dedykuję teraz to wołanie. Marczewski i Męclewski już nie żyją, a Serwański już nie da rady).

Wracam do rozdroża przy ulicy Wolskiej, czyli do „drogi przez mękę”. Profesor wracał w zaciętym milczeniu – rzecz zrozumiała – musiał „strawić, czy trawić” decyzję. A ja – przeciwnie – wyzwolony z potwornego nacisku

politycznego, postanowiłem „rozerwać” Profesora wszelkimi opowiadaniem. Szeliśmy, a ja o Paryżu, to jest o Quartier Latin, o Place l’Odeon, o ulicy Monsieur de Prince i Chat qui Pêche – to znaczy o dwóch moich wyprawach do Paryża w latach 1938 i 1939. Najpierw po francusku; Profesor słuchał i nieustannie mnie poprawiał, i to bez litości, wreszcie przeszedłem na polski. Chwyciło.

Ale jak długo można było uciekać do tamtego świata. Prom – Wisła. („Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę”). Krakowskie Przedmieście, Uniwersytet. Pałac Kazimierzowski. Wstrząsające wrażenie. Hol – ciemno, czy też piwnica; jakieś ciemne widma, ktoś wybiega naprzeciw – to ówczesny rektor, prof. Włodzimierz Antoniewicz. Wszyscy wstają – kolejno witają się z nami. Co za szacunek dla Profesora. Okrutnie wyglądali ci panowie w czerni, okutani czym kto mógł. Jakiś piecyk z ogieńkiem, kupka czerwonego żelastwa, czyli tak zwany „cyganek”.

„Napijemy się herbaty” – mówi Rektor – i tu okropny klops. Nie ma już herbaty. Profesor: „Jest”. Zdejmuje chlebak, czy mały plecak, który teraz dopiero zauważyłem. Wydobywa jakąś torebeczkę. Jest herbata – co za ulga, niezawodna Pani Maria, o wszystkim pomyślała. Przecież wybieraliśmy się na cały dzień i nikt z nas nie mógł przewidzieć, kiedy wrócimy. Ona przewidziała.

I potem już do kolejki. Kolejna makabra. Gdzie to, kiedy, która to była godzina. Nie ma mowy: podbiegam do lokomotywki, na stopniach „pasażerowie”. „Panowie, zróbcie miejsce dla Pana Dziekana, profesor Wojciechowski z Uniwersytetu Poznańskiego”. Gadu, gadu! Dosłownie, przy pomocy innych, wpełchnąłem Profesora przez bardzo wysokie stopnie do lokomotywki. Nie mogliśmy sobie nawet powiedzieć „do widzenia”. Profesor ruszył już w Polskę Ludową, a ja pieszo do Brwinowa – jeszcze w II Rzeczpospolitą?

W 10 dni później w Poznaniu – 23 lutego (przypominam – dzień kapitulacji Niemców na Cytadeli) – zacząłem się rozglądać po mieście dla spełnienia jednego z poleceń Profesora: „Niech Pan znajdzie lokum dla Instytutu”!

POSŁOWIE

W dziesięciolecie Instytutu Zachodniego – 1955 rok

Dziesięciolecie wyprawy Profesora Wojciechowskiego na Pragę zbiegło się z 30-leciem Jego pracy naukowej. Z tej okazji urządzono w Poznaniu uroczystość w siedzibie Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Sala była nabita; dosłownie było ciasno.

Profesor powiedział... A właśnie, że nie Profesor, tylko ja. Znowu ten „Mieciu” powiedział to, co Profesor napisał – po prostu odczytałem. Dlaczego

tak się stało? Czy Profesorowi znowu, tu także, byłem potrzebny. Owszem, Profesor był już chory. Więc nie miał sił, by sam odczytać swój referat. Przecież mógł to zrobić ktoś inny:

„Ogarniając jednym spojrzeniem okres dziesięcioletniej działalności mojej w Instytucie Zachodnim, trzeba powiedzieć, że w tym czasie zrealizowały się moje poglądy na miejsce Polski w świecie. Polacy uzyskali wreszcie właściwą sytuację geograficzną, zgodną z naukami historii ... (por. *Spojrzenie wstecz. Studia historyczne*. Warszawa 1955, s. 430).

A w perspektywie sali, gdy podniosłem oczy, aby odetchnąć w trakcie czytania, stali pod ścianą dwaj uczniowie dwóch moich kolegów – profesorów UAM: jeden był uczniem Alfonsa Kłafkowskiego – Krzysztof Skubiszewski, później profesor UAM i minister spraw zagranicznych; drugi zaś uczniem Witolda Jakubczyka – Lech Trzeciakowski, także później profesor – i co więcej – dyrektor mego Instytutu Zachodniego.

W pół roku później Profesor już nie żył, a w oczach zostały piękne perspektywy młodego pokolenia nauki polskiej*.

HALINA CAŁKA

MOJE WSPOMNIENIA O INSTYTUCIE ZACHODNIM

Profesora Zygmunta Wojciechowskiego poznałam w naszym mieszkaniu warszawskim jako dyrektora Studium Zachodniego, w którym mój mąż, pełnił funkcję sekretarza. Po moim powrocie do Poznania, na życzenie Profesora, w oznaczonym dniu i godzinie przekroczyłam progi Instytutu.

W bardzo serdecznej rozmowie Profesor postawił mi trzy pytania: jak przeżyłam – dawałam radę z chorym dzieckiem w okresie 1944/1945, jakie są moje plany na przyszłość i czy mam już zapewnioną pracę zawodową. Dowiedziawszy się, że z powodu kłopotów ze strunami głosowymi nie będę mogła pracować w swoim zawodzie nauczycielskim, zaproponował mi pracę w Instytucie. Będziemy w przyszłym roku otwierać nowe pracownie i działy, znajdzie się więc miejsce dla pani, na razie przytuli panią księgowość.

Z dniem 1 grudnia 1945 r. rozpoczęłam swoją pracę w Instytucie – a zakończyłam ją 31 maja 1992 r., zmieniając w tym okresie kilka razy warsztat pracy.

* Fragment wspomnień, pt. *Moje pionierskie lata w Polsce, Wielkopolsce i w Poznaniu – 23 lutego 1945 – 20 marca 1948*. (Tego dnia zostałem podstępnie uprowadzony w Poznaniu z ulicy przez UB i uwięziony; wróciłem do Instytutu dopiero w 1952 r.).